

ERATO

PODZIEMNA ROZKOSZ

Rakso Hardik
Ewa Borderline



Ewa Borderline

Rakso Hardik

Erato:

Podziemna rozkosz

© Copyright by Ewa Bordeline i Rakso Hardik
& e-bookowo
ISBN 978-83-7859-164-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe
e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie
części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Od autorów

Niniejszy tekst powstał w Utopii roku bezpańskiego 2013 podczas transgresyjnych orgii uprawianych bez żadnych zasad bezpieczeństwa. Kilka osób w efekcie pożegnało krainę wiecznego znoju. Przed śmiercią przeżyli najsześliwsze chwile swego życia. Taką mamy nadzieję. A wy z szacunkiem stąpajcie, gdy idziecie przez las.

On przecież nic tym kobietom nie robił. Musi mieć pani dziwną definicję niczego, bo jak dla mnie, dziesięć trupów, to jednak coś. Nie ma jednak dowodów, że je zamordował, czy się mylę? Znaleźliśmy wszystkie zakopane w jego piwnicy. On też przyznał się, że je tam zakopał. Ale nie, że zamordował. To nie w jego stylu. Widzę, że pani dobrze zna „ten styl”. Niech pan posłucha... Nie, to pani niech posłucha. Dopóki sąd nie postanowi, co dalej w jego sprawie, pozostaje pod moją specjalną opieką. Nie wie pan, do czego to może doprowadzić. To jest ktoś, kto potrzebuje pomocy, a nie kary. Taką gadkę, to może pani wciskać studentom na zajęciach, albo może pani to powiedzieć rodzicom tych dziewczyn. Na pewną pani przyklasną. Pan nie rozumie... Mam to w dupie. Wybacz pani, muszę poszukać jeszcze kilku pacjentów. Jak nam się pucha zapełni, to pójdą pierdzieć do pani zakładu. Nie o to chodzi... On po prostu jest niewinny... On... on je kochał.

Część pierwsza

Zabawa w chowanego

I.

Pierwszy papieros wczesnym porankiem, jeszcze przed śniadaniem, jeszcze przed kawą – powolne, metodyczne samobójstwo. Pierwszy papieros przy oknie, za którym rozpościera się typowy obraz w szarych, brudnych tonacjach. Widok codzienny, widok powszechny – marna odbitka odbitki urzędowego oryginału produkowanego masowo w duszonych biurach.

Powtarzalny rytuał. Wdech – wydech. Dzień – noc. Dzień... powtarzający się mdły dzień... rozpiśnany, przeżyty wielokrotnie. Taki czas bez czasu, bez wydarzeń. Czas, który tylko zabija i który można tylko zabić. Czas bez niej.

Odkąd odeszła... czy raczej, odkąd jej nie ma, czas stał się bezwydarzeniowy. Cykliczna rutyna. Monotonne w tykanie zegara... odmierzany spożyciem, wypalonymi papierosami... czas popiołu... bezpłodnego oczekiwania. Wypatrywania jakiegokolwiek znaku, czegokolwiek, co dałoby, chociaż iskłę nadziei, że przyjdzie, że się jeszcze spotkamy. Że coś

się wydarzy...

Tak długo jej nie było, zbyt długo... Jakby to wszystko... jakby to był jedynie sen. Intensywny, ale jednak, tylko sen. Nie mogę, nie chcę, myśleć, że to koniec, że już nigdy jej nie zobaczę. Nie, ona przyjdzie, pomimo wszystko przyjdzie. To tylko... to taka zabawa... w chowanego. Z pewnością, jest gdzieś tam, na zamglonej, wilgotnej ulicy... stoi za rogiem, chichocząc cicho, że dobrze się schowała.

Chcesz? Możemy się pobawić. W podchody.

Dworzec główny tonie we mgle. Siąpi drobny, przenikliwy deszcz. Odór zgniłej wilgoci, pleśni pokrywającej ściany miesza się z nieprzetrawionymi resztkami. Pogoda raczej jesienna niż zimowa, z całym depresyjnym bagażem przygniatającym co roku na mieszkańców, gdy tylko spadną pierwsze liście.

Dla zabicia czasu ćmię kolejnego papierosa. Pomaga na mdłości. Powinni je sprzedawać na recepty, za darmo, dla wszystkich czekających na koniec. Czekających na... Pociąg osobowy ze Szczecina Głównego do Szczecinka podstawia się na tor szósty przy peronie trzecim. Trzeszczący, szczekający głos rozrywający zastygłą w półśnie przestrzeń. Wielki zegar leniwie odmierza minuty. Obserwuję wskazówki starając się zająć czymś myśli. Czymkolwiek. Byle o niej nie myśleć... Stukot małych kółek pękatej walizki, szybkie kroki w szpilkach... odnoszę wrażenie, że mnie goni, stuk, stuk, coraz bliżej, za chwilę się odwrócę, a ona rzuci się w ramiona. Wrócimy do

domu. To tam się wszystko zaczyna i kończy. W domowym zaciszu, w szczelnie zamkniętych czterech ścianach, tylko tam ja i ona. Jak w piosence, co kiedyś puszczali w radio.

Odwracam się zniecierpliwiony. Nie, to nie ona. To znowu nie ona. Mija mnie kobieta typowa, powielona jak tysiące innych klonów. Płaska i nudna. Przy takich nigdy mi nie stawał, chociażby się pociły, wysilały. Przyziemność namiętności tętniła w ich ciałach. Mechanicznych, zdyscyplinowanych, wyćwiczonych. Nawet w ich wyuzdaniu było coś urzędowego i kupieckiego, najgorsza krzyżówka.

Wtulam się w płaszcz, zapadając się w siebie. Odpalam kolejnego papierosa, chcąc zatrzymać złudzenie ciepła. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze jej nie ma. To jej pociąg, zawsze nim o tej porze jeździła, z pracy albo do pracy, nie pamiętam dokładnie, kiedy jeszcze pracowała, nim ją zabrałem, do siebie, do domu.

Powinna już być. Dłonie się pocą. Nerwowe dłonie. Zaraz, zaraz odjeżdża. Nerwowe myśli. Spóźni się.

Zła myśl: chyba, że ktoś inny ją zabrał.

Zły obraz: ona pod innym mężczyzną. Wilgotne, rozchylone usta...

Mgnienie. Dłonie zaciśnięte w pięść. Mgnienie.

Cień. Ułamek sekundy – znajomy kształt.

Tak jakby...

Rozglądam się uważnie w poszukiwaniu dalszych epifanii mojej muzy. Nawet gdy otacza mnie tłum, czuję, że bez niej jestem nikim, szklanką do połowy pustą, wypranymi emocjami. Otepienie, to teraz czuję, nic mnie nie wzrusza, nic nie podnieca. Całkowity brak odczuwania, radość pamiętam tylko z nazwy.

Peron ponownie pustoszeje. Fala za falą, napływają – odpływają. Fale wypranych twarzy. Prymitywne gęby przyklejone do szyb w wyczekiwaniu na odjazd. Toporne, obce i nudne do obrzydzenia. Poza tym nikogo. Poza tym? Po prostu, nikogo. A już na pewno jej tu nie ma. Przemknęła, nieuchwytna, zwiewna, nierealna, jak zawsze.

Powoli idę w stronę wyjścia. Dłużej nie dam rady czekać. Wilgoć przeniknęła do szpiku. Telepie mnie. Popękanymi chodnikami, przez mleczną mgłę, podążam do domu. Pustego, pogrążonego w głębokiej ciszy, w milczeniu. Dom jest pełen jedynie wspomnień. Każdy kąt tęskni za jej obecnością.

Widać dobrze się schowała. Zawsze miała do tego talent. Po tym jak ją zabrałem często się ukrywała. W szafie, pod łóżkiem, w skrzyni, w lodówce... Po jakimś czasie się oswoiła. Czasami tylko, by przypomnieć, rozgrzać namietność pulsującą, wściekłą chowała się i z uśmiechem czekała. Byśmy odegrali raz jeszcze, ten pierwszy, bolesny do rozkoszny raz. Ten raz, po którym blizny zdobią moje plecy i pośladki. Ślad drobnych ząbków na dłoni. Oznaczyłam cię, powiedziała wtedy. Wiedziałem, że będziemy szczęśliwi.

Wyrywa mnie ze wspomnień jakiś głos. Znajomy,

czyżby jej...

Przytłumiony szept, jakby nie z tego świata. Tak jakby wydobywał się zza grubej zasłony rzeczywistości. Z innego, cudownego wymiaru. Jej głos zawsze zapowiadał nierealną rozkosz.

– Ciiii... maleńki... zimno, zimno i wilgotno. Szukaj dalej, głębiej... jesteś tak blisko... wejdź, wejdź głębiej... – głos dobiega zza wielkich masywnych drzwi bunkra.

Naciskam klamkę. Nic. Ani drgną. Kolejna próba kończy się również niepowodzeniem. Musiały się zaciąć. Szarpie z całej siły. Szamoczę się, jakby od ich otwarcia zależało moje życie. W pewnym sensie zależy. Te jednak niewzruszone, obojętne opierały się moim staraniom.

– Co jest?! – głos zza pleców. Emeryt w stroju ochroniarza wyłania się z pobliskiej budki.

– Nie mogę otworzyć – mamrocze.

– Bo zamknięte. Czytać nie nauczyli?

Nauczyli, nauczyli, pomyślałem rozglądając się w poszukiwaniu informacji o zamknięciu. Rzeczywiście, obok drzwi mała karteczka:

Szczecińskie podziemne trasy turystyczne – daj się ponieść historii. W okresie między świątecznym tj. 27-31.12.2012 zwiedzanie tylko dla grup zorganizowanych, min 15 osób.

Poniżej numer telefonu.

– Który dzisiaj mamy? – pytam ochroniarza, który przygląda się bacznie ćmiąc papierosa.

– Piątek – odburkuje.

Milusi, myślę. Kwiat narodu.

– Ale dzień, dzień miesiąca, jaki numer, data, rozumie pan? Który dzisiaj?

– Dwudziesty ósmy – kręci głową. Miażdży niedopałek wojskowym butem. – Nici ze zwiedzania. Idź pan lepiej do domu.

Ignoruję go. Ona tam była, może nawet jest. Wiem dobrze, w końcu ją słyszałem. Nie mogę teraz odpuścić, nie teraz, gdy zabawa się rozpoczęła na dobre, gdy bliska jest rozkosznego zakończenia.

Zadzwonię. Może akurat zrobią wyjątek. W końcu każdemu przyda się przed sylwestrem zastrzyk gotówki.

W słuchawce zaspany, kobiecy głos.

– Dzień dobry... chciałbym zarezerwować, znaczy się zamówić zwiedzanie. Na teraz.

– Co? A... tak. Dzień dobry. Wie pan... jest szósta rano, a ja wstaję o dziesiątej. Proszę... proszę zadzwonić później, dobrze? Miłej nocy – zachrypnięty, ciężki głos.

– Jak szósta?! – wymamrotałem. – Proszę zaczekać! – Dodaje szybko, chyba trochę zbyt błagalnie. – Niech pani zaczeka! Nie mogę zwlekać, żadne póź-

niej nie wchodzi w grę. Rozumie pani? Naprawdę, bardzo, ale to bardzo mi zależy. Zapłacę ekstra – rzucam na koniec, zbyt desperacko. Czuję, że być może będę tego żałował. Teraz to jednak się nie liczy. Dla mojej małej poświęciłbym wszystko.

– Jezussss... – chwila milczenia. – Dobra. Chce pan kupić mój czas na sen, który i tak pan przerwał?

– Tak, chyba tak – mamrocze bez sensu.

– W takim razie musi pan wiedzieć, że jest on niemalże bezcenny, nie wiem, czy pana stać. Na ile osób to zwiedzanie?

– Tylko ja – mówię cicho.

– Słucham!?

– Tylko ja – dodaje głośniej.

– Nie jestem głucha. Po prostu... – westchnienie. Chwila ciszy. – Nie chciałabym wątpić w pańską umiejętność czytania ze zrozumieniem – ton oficjalny, siłący się na ironię – ale musi pan wiedzieć, że w okresie między świątecznym zwiedzać mogą jedynie grupy minimum piętnastoosobowe. Czy pańskie ja skłonoowało się w takiej liczbie, bo jeżeli nie, to nawet nie opłaca mi się z panem dłużej rozmawiać?

– Zapłacę za grupę, to żaden problem. Muszę... bardzo chciałbym zwiedzić bunkry, a nie wiem czy potem będzie ku temu okazja.

– A co zagłada się szykuje? Jeśli to ma być koniec świata to ubiór dostosuję do okoliczności. Dobra.

Będę za trzydzieści minut. Proszę uzbroić się w cierpliwość i gotówkę, bo za bilet, przepraszam, bilety wstępu kasują z góry. To będzie około pięćset złotych. Zgadza się pan?

– Pięćset? – zaschło mi w gardle.

– Za dużo? W takim razie...

– Dobrze, już dobrze. Może być. Zgadzam się.

– To do zobaczenia.

Dłonie mam mokre. To była męcząca rozmowa. Rozmowy mnie męczą, zawsze męczyły, a ta kobieta zdaje się być straszną suką. Widać te, które nie mogą pracować na powierzchni ziemi właśnie takie są. Znam ten ton głosu, kojarzący się z sadystycznymi pielęgniarkami w lateksowych rękawiczkach, które celowo potęgują ból pacjenta. Sycą się władzą. Ta najwidoczniej jest taka sama. Trudno, jakoś to zniosę, nie będzie mnie przecież dotykać. Była tylko przyszła. Wtedy będę mógł kontynuować poszukiwania. Bez mojej małej nic nie ma sensu.

Kolejny niedopałek gaśnie w kałuży. Odmierza czas. W pół do siódmego papierosa, a kobiety ani widu, ani słychu. Nawet słownictwo sięga już dna. Źle ze mną, ale jak wróci moja muza wszystko się odmieni. Wszystko...

Szybki krok, rytmiczny, ale nie na kobiecy sposób. Raczej męski. To pewnie ta suka.

– To pan? Gotów na przygodę? Po wyjściu z tego schronu nie będzie pan już tym samym człowiekiem.

Średniego wzrostu i dość drobnej budowy dziewczyna. Czarne bojówki, wojskowa kurtka i buty. Włosy zaplecione w długi czarno-czerwony warkocz. Twarz niczego sobie, chociaż trochę zbyt wulgarna. I dziewczęca. Ma w sobie coś z przejrzałej nimfетки.

Przytakuję. Krótka prosi o pieniądze.

– Widzę, że się skarbonkę rozbiło – marudzi przedzierając się przez gąszcz dziesiątek i dwudziestek.

– Pieniądz jak pieniądz – odpowiadam oschle. Irytuje mnie to stanie. Chciałbym już wejść. – Możemy zacząć? Czy będzie pani to sprawdzać po raz enty?

– Trzeba się upewnić, a pretensje to można mieć do siebie. Jakby stówki były, to by tyle liczyć nie trzeba było, tak? Dobra – mówi nie czekając na odpowiedź. – Czas do pracy – wzdycha, po czym oficjalnym tonem zaczyna wygłaszać oklepany, niby zabawny, niby straszny komunikat. – Proszę wyłączyć telefon komórkowy i tak się na nic tu nie zda, poza tym nie wolno robić zdjęć. Kiedyś nawet odzywanie się było zakazane, ponieważ mogło wzbudzić panikę. Mam nadzieję, że ubrał się pan stosownie do miejsca, w środku jest zimno, zimno i wilgotno...

– Tak, wiem. Już to słyszałem.

Spis treści

Od autorów	4
Część pierwsza	6
Zabawa w chowanego	
Część druga	35
W potrzasku	
Część trzecia	95
Podziemny orszak	
Epilog	113
Podziemna utopia	